

• Otwarte w 2016 r. Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów w Markowej, jeden ze sztandarowych projektów polskiej polityki historycznej firmowany przez Instytut Pamięci Narodowej FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nasz ład utracony

Jak polscy politycy, którzy robili kariery w monarchii Austro-Węgier, poradzili sobie w niepodległej Rzeczypospolitej

6

Kolorowe życie Misi Sert

Wylansowała Diagilewa, a Proust wzorował na niej jedną z bohaterek „W poszukiwaniu straconego czasu”

7

Francuski pólkownik

Gdy ten film miał być pokazany na festiwalu w Grenoble, samorządowcy wymusili usunięcie go z programu

8

Polskie „ministerstwo pamięci” przerabia po swojemu Holocaust

HISTORIA W ZAMRAŻ

Według polityki historycznej PiS typowa postawa Polaków w czasie wojny była taka jak rodziny Ulmów. A jeśli się temu sprzeciwiasz, sprzeniewierzasz się ich pamięci i nie jesteś patriotą.

Tekst wyróżniony w konkursie Europejskiej Nagrody Prasowej

• **Katia Patin** to amerykańska dziennikarka o rosyjskich korzeniach. Kursuje między Waszyngtonem a Stambulem. Dla niezależnego portalu **Coda Story** pisze o dezinformacji, współczesnych autorytaryzmach, szczególnie interesuje ją zjawisko pisania przez polityków historii na nowo. Opisała, jak władze Rosji zafałszowują historię sowieckich represji, a także jak na Węgrzech pisze się nową historię, aby służyć antyunijnej polityce Orbána. Szukając tematów do kolejnego materiału, trafiła na informacje z Polski: o polityce historycznej PiS, działalności Instytutu Pamięci Narodowej i oporze naukowców wobec forsowanej przez władze „nowej historii”. Sytuację w naszym kraju opisała z dalszej perspektywy, tak by zrozumiał ją anglojęzyczny czytelnik. Jej reportaże o Polsce, który publikujemy, został wyróżniony w konkursie **European Press Prize** – otrzymał drugą nagrodę w kategorii Distinguished Reporting.

Link do oryginalnej wersji na portalu Coda Story na: Wyborcza.pl/alehistoria

Katia Patin

P

Populistyczne próby umieszczenia w centrum uwagi polskiego bohaterstwa i przeniesienia do zamrażarki żydowskiej historii kraju budzą rosnący opór. Wielu Polaków zmagają się z mitami z czasów hitlerowskiej okupacji, wierząc, że „dobre imię” kraju zszargali źli historycy. Prawicowy rząd wychwalał cnoty tak szeroko objawione przez Polaków podczas II wojny światowej, spychając na margines żydowskie ofiary, jednak niektórzy Polacy chcą, żeby ich kraj pogodził się wreszcie z prawdą o swojej XX-wiecznej historii.

Olimpijski kajakarz slalomowy, dziś 38-letni Dariusz Popiela przez lata trenował na Dunajcu. Jako 20-latek codziennie pokonywał odcinek między dwoma mostami w rodzinnym Nowym Sączu. Nie podejrzewał, że tak dobrze mu znane miejsce pobudzi go, by tak rzec, do buntu pamięci. Historia fascynowała go od zawsze. Dorastając, wypytywał dziadka o dzieciństwo w okupowanej Polsce.

Cały jego ogromny rozdział dziadek usunął ze swojej pamięci – blisko 12 tysięcy Żydów, którzy mieszkali w Nowym Sączu do 1939 r., około jednej trzeciej populacji miasteczka. Na lekcjach historii nie mówiło się o skali żydowskiej obecności w Nowym Sączu – i w całym kraju. Dowiedział się o tym dopiero w wyniku własnych poszukiwań. Żydzi żyli w Polsce od tysiąca lat

– w chwili wybuchu II wojny światowej Polska była domem największej poza Stanami Zjednoczonymi żydowskiej diaspory.

Popielą wstrząsnęły szczegóły wywózki żydowskich mieszkańców miasteczka do obozu zagłady w Bełżcu. Wielu spędziło ostatnią noc w Nowym Sączu, kuląc się nad rzeką między tymi samymi mostami, które widział, płynąc kajakiem.

– Patrzyli na te same co my widoki, słyszeli ten sam plusk, to samo szemranie rzeki – mówił Popiela, kiedy stałszy na jej brzegu. Wokół Dunajca roztacza się jeden z najbardziej malowniczych krajobrazów południowej Polski. Rzeka przelamuje strome wąwozy, mija zstępujące ku brzegom bystrej toni sosnowe lasy i pola bujnych traw. Popiela wskazuje na rodziny na rowerach i spacerujące nad Dunajcem pary. – Połowa miasta znikła, a wy, cholera, niczego nie pamiętacie – dziwi się, wzruszając ramionami. – Jak to możliwe?

Od czasu swego odkrycia Popiela, wraz z fundacją Ludzie, Nie Liczby, którą założył, organizował w całej Polsce dziesiątki akcji upamiętniających żydowską obecność. Należy do nowego pokolenia polskich obywateli – w tym historyków, pisarzy, nauczycieli – którzy chcą uczciwiej zmierzyć się z XX-wieczną historią Polski.

Na dziesięciolecie polsko-żydowską historię zamknięto w czymś, co badacze nazywają komunistyczną zamrażarką. Naziści zamordowali około trzech milionów polskich Żydów, ale dopiero w latach 60. komunistyczne władze dopuściły do szerszej dyskusji o tym ludobójstwie. Jednak i wtedy – m.in. podczas antysemitycznej czystki w 1968 r. – obwiniono Żydów o nieokazanie stosownej wdzięczności ratującym ich Polakom.

Upadek komunizmu w jakiejś mierze przerwał milczenie, ale rządząca dziś prawica promuje nacjonalistyczną narrację historyczną, podkreślając dumę z tego, co według niej jest przedmiotem tzw. pedagogiki wstydu. Zabieg okazał się nader skuteczny. Jak wynika z sondaży, Polacy wierzą,

że ponad połowa ich rodaków udzieliła Żydom bezpośredniej pomocy, m.in. ukrywała ich w swoich domach podczas hitlerowskiej okupacji. To absurdałne przeszacowanie. Takich jak Popiela, angażujących się w upamiętnienie żydowskich ofiar, oskarża się o propagowanie wspomnianej pedagogiki wstydu. W ustach Jarosława Kaczyńskiego i polityków Prawa i Sprawiedliwości termin ten funkcjonuje de facto jako polityczna obelga. Ma to być według nich lewicowo-liberalny program historyczny wyolbrzymiający mroczne aspekty polskiej historii.

W centrum konkurencyjnych narracji historycznych ułokował się Instytut Pamięci Narodowej – czyli polskie „ministerstwo pamięci” – powołany do życia w 1999 r. z misją przewzięcia komunistycznej przeszłości, zarządzania archiwami i ścigania komunistycznych zbrodni. IPN zajmuje się też dziedzictwem niemieckiej okupacji i odpowiada za obronę „dobrego imienia” Polski. Ściąga na siebie gromy światowej opinii publicznej, odkąd w 2018 r. Sejm uchwalił „ustawę o Holocaustie”, w Polsce zwaną potocznie ustawą o IPN, penalizującą „zniesławianie” narodu polskiego twierdzeniami o jego rzekomym udziale w nazistowskich zbrodniach.

IPN jest jedną z najpotężniejszych instytucji publicznych w Polsce. Dzięki kolosalnemu budżetowi stał się największą w kraju placówką prowadzącą badania historyczne, która przyćmiła uniwersyteckie wydziały historii i niezależne instytuty badawcze. To jedyny w swoim rodzaju biurokratyczny twór, który jest jednocześnie najplodniejszym w kraju producentem tekstów historycznych, prokuraturą, wytwórną filmową i dystrybutorem gier historycznych, ma też wpływ na program nauczania historii w szkołach. Pod rządami PiS budżet IPN wzrósł ponaddwukrotnie i przekracza dziś 531 milionów złotych rocznie. IPN zatrudnia około dwóch i pół tysiąca pracowników i ma 11 oddziałów terenowych.

Prezesa IPN mianuje Sejm, co budzi kontrowersje w wysoce spolaryzowanym świecie polskiej polityki. Wielu czołowych historyków domaga się likwidacji lub zreformowania tej placówki. Znacznie powszechniejszą formą sprzeciwu są inicjatywy lokalne, takie jak fundacja Popieli, próbujące przebudować polską kulturę pamięci.

BUNT PAMIĘCI

Kiedy Popiela dowiedział się o miejscu deportacji na brzegach Dunajca, dwa kroki od pięknie zachowanego nowosądeckiego rynku, pierwszym, co poczuł, był wstyd.

Każdy odkrywany szczegół miał dla niego osobiste znaczenie. Dowiedział się, że zaporę w górnym biegu Dunajca zbudowali żydowscy więźniowie. Później znalazł fragmenty XVII-wiecznych macew użytych do budowy miejskiej infrastruktury – hebrajskie litery dziś ledwie czytelne na krawężnikach ruchliwej drogi.

– Ten wstyd dodawał mi sił – mówi. – Napędzał bunt, skłaniał do działania.

Przez ostatnie sześć lat Popiela, poza aktywnością sportową, poświęcał mnóstwo czasu na odkrywanie historii. Z garstką pracowników fundacji Ludzie, Nie Liczby przekopywał archiwa i robił wywiady ze starszymi mieszkańcami polskiej prowincji, żeby poznać imiona, nazwiska i wiek żydowskich ofiar. On i jego współpracownicy postawili 10 pomników, odkryli 10 zbiorowych żydowskich grobów. Wolontariusze opiekują się wieloma opuszczonymi cmentarzami żydowskimi. Popiela samodzielnie publikuje – jak mówi z przymrużeniem oka – „podziemną” miesięczną kronikę historii nowosądeckich Żydów. Biuletyn rozkłada w miejscowych kawiarniach i w ratuszu.

Kiedy spotykamy się w maju [2022 r.], szykuje się do inauguracji swojego najnowszego projektu – zlokalizowanego na terenie byłego getta parku pamięci w Nowym Sączu, a także w budowania tablic pamiątkowych wzdłuż Dunajca w miejscu byłego obozu. Wszystkie te działania finansuje sam. Zapytałam, dlaczego on – kajakarz olimpijski, który wkrótce wystartuje w mistrzostwach Europy – musi to robić w kraju, który stworzył wielką, zajmującą się pamięcią historyczną biurokratyczną machinę.

– Oni dbają o inną historię – odparł. Poprosiłam o rozwinięcie tego wątku, więc podał przykład. Kilka lat temu fundacja próbowała wspólnie z IPN upamiętnić ośmioosobową żydowską rodzinę zamordowaną w 1944 r. po wydaniu jej gestapo przez polskiego sąsiada. Miejscowy oddział IPN domagał się, by tablica pamiątkowa zawierała informację, że rodzinę zamordowali naziści. Popiela odmówił.

– Czy umieścisz nazwisko mordercy swojej rodziny na jej grobie? – spytał. Tego samego zażądało niedawno w liście otwartym kilka miejscowych organizacji patriotycznych sprzeciwiających się jego planom budowy pomnika pomordowanych nowosądeckich Żydów. – Oni nie rozumieją perspektywy ofiar. Dla nich najważniejsze jest zaznaczenie, że winni Holocaustu są Niemcy.

Polska stara się od dawna kontrolować dyskusję o Holocaustie. Kiedy był prezydent USA Barack Obama wspomniawszy w 2012 r. o „polskich obozach śmierci”, Biały Dom musiał złożyć oficjalne przeprosiny. Prawicowi posłowie parokrotnie próbowali wprowadzić przepis przewidujący karę trzech lat więzienia za używanie tego terminu.

Wielu Polaków uważa, że reszta świata nie docenia cierpień ich narodu podczas nazistowskiej okupacji. – Ich obsesja – mówi Popiela – daje o sobie znać, ilekroć ktoś powie, że Polacy są odpowiedzialni za Holocaust. Teraz narracja IPN jest taka, że prawie wszyscy Polacy chowali w piwnicy jakiegoś Żyda. Twierdzą, że wszyscy byliśmy bohaterami. Ale w archiwach nie wygląda to tak pięknie.

Odwiedziłam z Popielą sąsiedni Grybów, gdzie w 2019 r. on i jego wolontariusze postawili pomnik na żydowskim cmentarzu ułokowanym na wzgórzu z widokiem na miasto. Nie-

ARCE

używany od 80 lat cmentarz był ogrodzoną płotem dżunglą. Dziś to spokojna, zalesiona działka z kilkoma umieszczonymi przez fundację tablicami informacyjnymi ze zdjęciami ofiar. Centralnym punktem jest duży granitowy obelisk z rozbitą macewą i płytami po obu stronach z nazwiskami i wielkiem prawie dwóch tysięcy Żydów zamordowanych w Grybowie podczas okupacji, z których prawie jedną trzecią stanowili dzieci poniżej 13. roku życia.

Idziemy pod górę. Popielea przykuca i zaczyna wyrwać chwasty porastające masowy grób, który wykryli za pomocą drona i georadaru. Opowiada o hejcie w sieci z powodu tego, co robi, o oskarżeniach, że pracuje dla Sorosa, i sugestiach, że byłoby lepiej, gdyby zajął się sprzątaniem katolickich cmentarzy. Kiedy zbiera fundusze, często słyszy, że powinien zwrócić się do jakiegoś „bogatego Żyda”, który zapłaci za ten pomnik.

W drodze powrotnej z cmentarza mijamy miejscowy kościół z czerwonej cegły, w niedzielne popołudnie wypełniony po brzegi – dziesiątki wiernych tłoczą się w drzwiach, tłum wylewa się na plac. Tuż obok strzelistej bazyliki stoi żydowska synagoga – opuszczona, z powybijanymi szybami. W Grybowie nie ma już Żydów. Na wprost synagogi namalowano niedawno duży mural w odcieniu sepii. Wzorem dla artysty była fotografia z 1922 r. przedstawiająca trzy pokolenia grybowski Żydów.

DUCHY WRACAJĄ

– Jesteśmy największym wrogiem IPN – mówi Agnieszka Haska, antropolożka kultury z warszawskiego Centrum Badań nad Zagładą Żydów. To jedno z pierwszych stwierdzeń, jakie pada w naszej rozmowie.

Wiele jej prac dotyczy problemu kolaboracji i ucieczki Żydów z okupowanej Polski – jak mówi, IPN ogląda nieustannie przez lupę jej teksty i inne publikacje Centrum. Mają tam zespół zajmujący się weryfikacją faktów, który zaznacza zaawazone błędy, także w przypisach, i odpiera zarzuty, publikując obszernie wyjaśnienia. Jak powiedział mi wiceprezes IPN, to część „nieustannej akademickiej debaty”. Zdaniem Haski, razem z innymi członkami i członkiniami Centrum nazwanej w telewizji zdrajcami, „bardziej przypomina to nieustanną wojnę”.

Zdarzają się przykre sytuacje. Haska opowiada, że wielokrotnie dzwoniła do IPN, prosząc, żeby przestał dostarczać regularnie do Centrum Badań nad Zagładą Żydów swoje historyczne publikacje. Historycy IPN są płodni, publikują do 300 tytułów rocznie. Zalewają nimi krajowe księgarnie, a że są one dotowane, autorom spoza IPN tym trudniej sprzedać swoje tytuły. – Oni nas trollują! – skarży się Haska.

Część jej najnowszych prac dotyczy popularnej w XIX-wiecznej Polsce antysemitycznej fantastyki. Autorzy tych książek omijali carską cenzurę, udając, że ich antyżydowskie teksty są z gatunku fantasy. Haska pisze też o powieści Tadeusza Hollendra z 1938 r., zatytułowanej „Polska bez Żydów”. Ta zapomniana dziś książka miała być satyrą na polski antysemityzm. W książce Hollendra polscy Żydzi dochodzą



• **Dariusz Popielea przed bramą cmentarza żydowskiego w Grybowie odnowionego dzięki jego fundacji Ludzie, Nie Liczy**

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

w końcu do wniosku, że mają dość. Całymi rodzinami pakują się i ruszają w długą podróż do nowej ojczyzny, którą okazuje się Madagaskar. Nagle polscy chrześcijanie orientują się, że stracili żydowskich sąsiadów i nie mają nikogo, kogo mogliby pobić lub obwinąć za własne nieszczęścia. Okazuje się, że życie w Polsce bez Żydów nie jest takie, jakiego by oczekiwali. Bohaterowie powieści Hollendra wyprawiają więc na Madagaskar delegację, żeby błagać Żydów o powrót: „Bez was nie wiemy, kim jesteśmy”.

Ledwie parę lat po ukazaniu się książki Hollendra pokonany niemiecki najeźdźca zostawił Polskę prawie bez Żydów, którzy padli ofiarą totalnej eksterminacji. Podczas Holocaustu wymordowano prawie 90 proc. polskich Żydów. Wskutek wojny śmierć poniosło około 20 proc. mieszkańców Polski, w tym autor wspomnianej książki Tadeusz Hollender, działacz polskiego podziemia zastrzelony przez gestapo w 1943 r. Po wojnie wielu Żydów, którzy przeżyli, wyemigrowało do Izraela lub Stanów Zjednoczonych.

Pisząc o II wojnie światowej w Polsce, znany historyk Jan Tomasz Gross przytoczył zdanie z pamiętnika z czasów Holocaustu: „To była wojna, której nikt do końca nie przeżył”. Przez sześć lat nazistowskiej okupacji zginęło prawie sześć milionów polskich obywateli. Gross podaje kilka liczb uzmysławiających ogrom dewastacji życia w polskich miastach: po wojnie znikła blisko jedna trzecia ich mieszkańców, śmierć poniosło 40 proc. polskich lekarzy, 30 proc. profesorów uniwersytetów i katolickiego duchowieństwa; nie odnalazło się także 55 proc. polskich prawników. Brutalny był też radziecki okupant, winny m.in. masakry 22 tysięcy polskich oficerów rozstrzelanych

w 1940 r. w Katyniu przez czerwonoarmistów i kampanii terroru prowadzonej w całym kraju przez NKWD.

Do dziś wielu Polaków czuje rozgoryczenie, wierząc, że pod koniec wojny zostali sprzedani Związkowi Radzieckiemu przez Zachód i skazani na półwiecze komunistycznych rządów. – Po 80 latach II wojna światowa nadal rządzi naszą teraźniejszością – ocenia Haska. – To straszne, jeśli o tym pomyśleć, ale 1 września 1939 r. naprawdę skończył się świat.

Haska opowiada też o jednej ze swoich wczesnych podróży do Izraela, wiele lat temu. Pamięta szok i wstyd, gdy ludzie w całym kraju natychmiast rozpoznawali nazwę jej rodzinnego 43-tysięcznego Ciechanowa. Spotykani Izraelczycy udzielili jej lekcji historii – że miasto było prawie w połowie żydowskie i że Róża Robota z Ciechanowa była jedną z czterech kobiet, które we wrześniu 1944 r. dowodziły powstaniem w Auschwitzu.

– Wszyscy wiedzieli, gdzie leży Ciechanów, i wszyscy znali jej imię – wspomina Haska. – Dorostałam 50 metrów od cmentarza żydowskiego i nie miałam o tym pojęcia.

Jedyny ślad Roboty w Ciechanowie to ulica jej imienia na obrzeżach miasta. Ten fakt odzwierciedla narrację historyczną PiS i IPN, w której żydowskie ofiary Holocaustu tworzą tło wspaniałej historii bohaterstwa i oporu Polaków katolików. Niewiele tu miejsca dla jednej z najokrutniejszych prawd XX-wiecznego autorytaryzmu – że oto ludzie stali się współwinni własnego zniewolenia.

Ta prawda to jedno z pierwszych spostrzeżeń pojawiających się w „Sąsiadach” Jana Tomasza Grossa – książce, która wstrząsnęła Polską w 2000 r. i do dziś budzi liczne kontrowersje. Gross zrelacjonował szczegółowo pomijaną dotąd przez badaczy masakrę

polskich Żydów w lipcu 1941 r. dokonaną przez polskich sąsiadów w miasteczku Jedwabne. Jak pisze, podczas pogromu Niemcy ograniczyli się do stania z boku i robienia zdjęć. Na początku XXI w. IPN potwierdził wersję, według której Żydów wymordowali ich polscy sąsiedzi. Rok po publikacji, podczas uroczystości w Jedwabnem prezydent Aleksander Kwaśniewski prosił publicznie o przebaczenie.

Reakcją na książkę Grossa była m.in. kampania na rzecz ekshumacji ciał ofiar, mającej dowiedzieć, że Żydów zabili nie Polacy, tylko niemieccy żołnierze. W wywiadzie z 2016 r., komentując Jedwabne i pogrom kielecki (1946), minister edukacji Anna Zalewska odmówiła uznania polskiej odpowiedzialności, twierdząc, że w tej sprawie „było wiele nieporozumień”.

Mieszkańcy Jedwabnego dowiedzieli się z dnia na dzień, że ich dziadkowie brali udział w brutalnej masakrze Żydów, których spalili żywcem, albo się temu biernie przyglądali. Wielu historyków analizuje historyczną konturę Polaków. Psycholog społeczny Michał Bilewicz badał mechanizm sprawiający, że ludzie, którzy doświadczyli historycznej traumy, są bardziej skłonni wierzyć w teorie spiskowe jako adaptację do tejże traumy. A także dlaczego programy edukacyjne o Holocaustie wywołują niekiedy objawy zespołu stresu pourazowego, skłaniają do sceptycyzmu i negowania faktów.

Haska opowiedziała mi historię swojej ciotki sprzed paru lat. Do jej domu – pięknej willi wybudowanej w latach 30. ubiegłego wieku – ktoś zapukał. W drzwiach stała kobieta, Niemka, która chciała wiedzieć, czy nadal stoi jej stary rodzinny dom. Mieszkała w nim jako mała dziewczynka, dom znajdował się na ówczesnym terytorium Niemiec. Gdy w styczniu 1945 r. wkroczyła tam Armia Czerwona, rodzina uciekała. Kobiety rozmawiały po niemiecku. Ciotka Haski opowiedziała o swoich dwóch braciach zabitych przez gestapo w 1943 r., a Niemka – o swoim młodszym bracie, który zginął, gdy rodzina uciekała zimą 1945 r.

– Połowa Polski mieszka w cudzych domach – nie tylko żydowskich, lecz także niemieckich – dodaje Haska. – Ale duchy wracają.

PATRIOTYCZNY SZANTAŻ

Jak Polska długa i szeroka muzea historii mają wielkie wzięcie. Przez minione 15 lat otwarto paręnaście nowych placówek. Przed pandemią muzea w 38-milionowym kraju odwiedziło 38 milionów gości. Wiele nowych muzeów stało się przedmiotem skandalu opisywanych w światowej prasie.

W 2019 r. dyrektor renomowanego warszawskiego Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin” prof. Dariusz Stola został zwolniony przez ministra kultury. W 2017 r. tenże minister zastąpił dyrektora nowo powstałego gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej przyjaznym PiS kandydatem – historykiem Karolem Nawrockim, który dziś pełni funkcję prezesa IPN.

Z kolei jeszcze nieotwarte Muzeum Getta Warszawskiego zdążyło narazić się na zarzut upolityczniania historii. Inna placówka, uruchomiona w 2004 r. Muzeum Powstania Warszawskiego, zainteresowała media po otwarciu Sali Małego Powstańca z replikami misiów i lalek, „inspirującymi” opowieściami o dzieciach walczących w II wojnie światowej i pomnikiem małego żołnierza z karabinem w ręku.

IPN nie jest związany z żadnym z tych muzeów, w odróżnieniu od Muzeum Polaków Ratujących



Żydów im. Rodziny Ulmów, które wydaje się najlepszą ilustracją jego polityki. Otwarto je w 2016 r., a kuratorem został obecny wiceprezes IPN Mateusz Szpytma.

W ceremonii otwarcia muzeum, mieszczącego się w odległej o dwie i pół godziny jazdy z Krakowa czterotysięcznej wsi Markowa, wziął udział prezydent Andrzej Duda.

W uchwale z tej okazji Sejm pisał: „Świat nie zna realiów, jakie panowały na polskich ziemiach podczas tragicznych lat wojny 1939-1945, a ignorancja historyczna, z jaką spotykamy się za granicą, uderza w dobre imię naszej Ojczyzny”.

Na zdjęciach z uroczystości widać prezydenta Dudę, na którego pada odbłask tysięcy podświetlonych tabliczek, każda z nazwiskiem polskiego obywatela zamordowanego za niesienie pomocy Żydom podczas wojny. Wielu z nich odznaczono izraelskim tytułem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”, przyznawanym tym, którzy ryzykowali życie, niosąc podczas wojny pomoc Żydom. Polska szczyli się największą liczbą Sprawiedliwych – ponad siedem tysięcy obywateli, z których wielu zapłaciło za to życiem.

W muzeum można się zapoznać z historią rodziny Ulmów, która podczas okupacji ukrywała w Markowej ośmioro Żydów. Wskutek donosu Ulmowie oraz Goldmanowie, Didnerowie i Grünfeldowie zostali rozstrzelani – łącznie 17 osób, w tym dzieci, jedno nienarodzone.

Przechodząc przez dziedziniec do drzwi muzeum, zwiedzający widzą najpierw dużą, podświetloną fotografię rodziny Ulmów autorstwa ojca rodziny, Józefa Ulmy. Wykonał dziesiątki zdjęć swoich bliskich aparatem fotograficznym, sprzętem rzadkim i cennym na polskiej wsi lat 30.

Ekspozycja ułożona w oszczędnej, nowoczesnej brzytle metalu i szkła obejmuje liczne jego zdjęcia (na niektórych wciąż widać ślady krwi) rodziny, sąsiadów i okolicznych krajobrazów. Muzeum rodziny Ulmów kładzie nacisk na okrucieństwo wojny, na to, że aż 20 proc., niezwykle dużo, ukrywających się Żydów z Markowej przeżyło wojnę, wreszcie na ogromną presję wywieraną na mieszkańców wsi, by kolaborowali i donosili.

– Chciałbym, żeby każdy odwiedzający to muzeum poznał dramat, jaki spotkał naród żydowski podczas II wojny światowej – mówi wicepre-

zes IPN, historyk Mateusz Szpytma, który jako pierwszy badał historię rodziny Ulmów. Według jego szacunków dzięki pomocy nie-Żydów w Polsce przetrwały dziesiątki tysięcy Żydów. – Chciałbym, żeby wiedzieli oni, że nawet w najczarniejszych czasach totalitaryzmu można nieść pomoc potrzebującym. Od nas samych zależy, jak postąpimy – czy stanimy po stronie zdradcy, czy będziemy bohaterami, zaryzykujemy życie dla innych.

Obok muzeum wzniesiono pomnik rodziny Ulmów ozdobiony gołdem Polski, krzyżem i dziewięcioma urnami. Pod pomnikiem świeży bukiet czerwonych róż. Żydowskie ofiary, które ukrywały się u Ulmów, pochowano na oddalonym o ponad 20 kilometrów cmentarzu wojskowym. Nie wymieniono z nazwiska Gołdy Grünfeld, Lei Didner i jej dziecka ani pięciu Goldmanów. Upamiętniono ich hurtem, wraz z 300 bezimiennymi polskimi Żydami zamordowanymi podczas wojny i tam pochowanymi.

Część wybitnych polskich historyków, w tym Jan Grabowski z Uniwersytetu w Ottawie i Agnieszka Haska, krytykuje kompozycję wystawy. Pod pewnymi względami muzeum Ulmów zrywa z dotychczasową praktyką. Przez dziesięciolecia obywatele polscy uhonorowani tytułem „Sprawiedliwego” ukrywali się przed sąsiadami i rodziną w obawie przed stygmatyzacją i szykanami. Od dawna należało się im

publiczne uhonorowanie, ale krytycy uważają, że dzieje się to kosztem ocalonych przez nich Żydów, zredukowanych do roli świadków polskiego bohaterstwa.

– Jako polska obywatelka, polska badaczka w pełni popieram upamiętnienie tych szlachetnych Polaków, nie licznym dość odważnym, by w jakiś sposób przeciwstawić się wojennym realiom. Jednak ich biografie wykorzystywane są do swego rodzaju patriotycznego szantażu – mówi Maria Kobielska, współzałożycielka Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kobielska zajmuje się nowymi muzeami historycznymi, pisała też o muzeum im. Ulmów.

– Ogólne przesłanie jest takie, że to była typowa postawa Polaków, że robili to co Józef i Wiktoria Ulmowie. Jeśli sprzeciwiasz się tej narracji i temu muzeum, to w jakiś sposób sprzeniewierzasz się pamięci Ulmów – tłumaczy Kobielska. – Wykorzystuje się ich jako alibi dla ogółu Polaków.

Psycholożka społeczna Maria Babińska z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego prowadzi badania kwestionariuszowe. – Prosiłiśmy respondentów – opowiada – żeby oszacowali, bo nie znamy i nigdy nie poznamy prawdziwych liczb, jaki procent Polaków kolaborował z Niemcami, a jaki zachował się obojętnie.



► **Otwarcie skweru Pamięci Ofiar Zagłady w Nowym Sączu, który powstał dzięki staraniom fundacji Ludzie, Nie Liczby Dariusza Popiela. Na pomniku, odsłoniętym 28 sierpnia 2022 r., w 80. rocznicę ostatniego transportu Żydów z Nowego Sącza, wyryte zostały nazwiska 11 966 ofiar Holocaustu pochodzących z tego miasta**

FOT. DAMIAN RADZIAK / REPORTER

► **Maciej Sanigórski i Jeremi Galdamez protestują pod tabliczką z nazwą ulicy Dąbrowszczaków na warszawskiej Pradze**

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

► **Markowa, 24 marca 2023 r. Prezydent Andrzej Duda z małżonką Agatą Kornhauser-Dudą w Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów**

FOT. PATRYK OGÓRZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak się okazało, w ich opinii podczas II wojny światowej blisko 60 proc. Polaków bezinteresownie pomagało Żydom, ale też 25 proc. kolaborowało z Niemcami.

Wyniki były mocno spolaryzowane. Odpowiedzi respondentów zależały od orientacji politycznej, ale także od takich czynników jak antysemityczne poglądy lub popieranie IPN-owskiej „ustawy o Holocaustie”.

Poprosiłam wiceprezesa Mateusza Szpytmę o ocenę tych wyników. – Nie sądzę, żeby Polska była tu wyjątkiem, wszędzie ludzie błędnie postrzegają historię – odparł. – Ważne, żeby pokazywać ją taką, jaka była, z czego mamy być dumni, a co było złe, czego mamy się wstydzić. Te dwa aspekty są mocno obecne w pracach IPN.

Babińska przypisuje wyniki swoich badań elementarnej ludzkiej psychologii – ludzie często przeceniają walory moralne własnej grupy.

Moralność, tożsamość, swojskość to wątki mocno eksploatowane w kampaniach wyborczych PiS. Hasła i przemówienia dowartościowują polsko-katolicką tożsamość oraz patriotyczny opór podczas nazistowskiej okupacji i komunistycznych rządów.

– Polityka pamięci jest substytutem ideologii legitymizującej partię – mówi odwołany dyrektor warszawskiego muzeum Polin, historyk z Polskiej Akademii Nauk Dariusz Stola.

Od 2015 r. PiS wypracowuje oficjalną „strategię” swojej polityki historycznej – jak powiedział prezydent Duda, „prowadzenie polityki historycznej jest jednym z najważniejszych obowiązków prezydenta”.

HISTORIA NARODU

Maciej Sanigórski i Jeremi Galdamez dbają o inną pamięć, mocniej drażliwą dla Polaków niż ta żydowsko-polska – pamięć polskiego komunizmu. Od 2017 r. IPN prowadzi dekomunikację polegającą na zmianie nazw ulic i usunięciu w całej Polsce ponad 200 pomników, które „symbolizują lub propagują” totalitaryzm. Jest to najbardziej widoczna działalność IPN – obecny prezes zwołuje wideokonferencje prasowe, a w tle robotnicy z młotami pneumatycznymi burzą pomniki.

Sanigórski pracuje w kolumnie transportowej Poczty Polskiej. Galdamez publikuje w piśmie historycznym; jego ojciec należał do chilijskiej

młodzieżówki komunistycznej, w latach 70. uciekł przed prześladowaniami politycznymi do Polski. Obaj są lewicowymi działaczami z Warszawy – zorganizowali m.in. akcję przypominającą dzieje dąbrowszczaków, ochotników z Polski, którzy w latach 30. walczili w hiszpańskiej wojnie domowej przeciwko faszystom generała Franco jako druga co do wielkości międzynarodowa formacja.

Ich największym jak dotąd sukcesem było zebranie ponad tysiąca podpisów potrzebnych do unieważnienia wydanego przez IPN nakazu zmiany nazwy warszawskiej ulicy Dąbrowszczaków. Było to niełatwe zadanie w postkomunistycznym kraju, gdzie wszystko, co trąci komuną, uchodzi za toksyczne.

Sanigórski i Galdamez oprowadzili mnie po miejscach, w których z dnia na dzień zniknęły komunistyczne pomniki Warszawy. Obaj organizują dyskusje o polityce historycznej, a także doroczną uroczystość upamiętniającą polskich bojowników na cmentarzu Wojskowym w Warszawie – w tym roku z udziałem delegacji z Hiszpanii i Włoch.

– Zawsze powtarzam, że gdybym żył w czasach komunizmu, walczyłbym o pamięć o antykomunistycznym ruchu oporu, bo trzeba walczyć o to, co usuwa się z kart historii – mówi Sanigórski.

Zdaniem Valentina Behra, politologa z Paris Institute for Advanced Study, grupa ta jest jedną z dziesiątek oddolnych inicjatyw sprzeciwiających się dekomunizacji przestrzeni publicznej, co dowodzi, że niekiedy polityka historyczna przynosi odwrotny skutek.

„To sposób budowania kontrnarracji dla narracji oficjalnej, pokazania, że jest też inna Polska, która nie jest konserwatywna ani faszystowska, tylko postępową, lecz niemal stale rugowaną z pamięci zbiorowej”.

Sanigórski i Galdamez sprzeciwiają się polityce historycznej IPN, który nazywają orwellowskim ministerstwem prawdy, forsującym politykę pamięci aż po nazwy ulic w miastach i miasteczkach w całym kraju. Obaj są zdani jednak, że jego likwidacja nie byłaby łatwa. Niemal każdy, kogo pytałam, miał inny pomysł na temat tego, co zrobić z IPN. Nic nie wskazywało, by miał on zniknąć pod obecnymi rządami, ale trwa debata o tym, jak go zreformować, a nawet zlikwidować w razie wygranej opozycji.

STRAŻNICY PAMIĘCI

Adam Musiał przez 22 lata uczył historii w krakowskim liceum. Rzucił pracę w 2019 r., stwierdziwszy, że coraz trudniej mu mówić o Holocauście. – Do mojej decyzji – tłumaczy – przyczynił się klimat, jaki otacza w Polsce kwestię pamięci.

W ramach grantu badawczego przeprowadził wywiady z blisko 20 nauczycielami w całej Polsce. Mówili, że pracuje się coraz trudniej. – Atmosfera jest duszna – stwierdził.

Dał przykład nauczyciela, który chciał zaprosić do szkoły ocalałego z Holocaustu Żyda. Na radzie pedagogicznej kolega zaproponował, żeby – skoro się na to decydują – zaprosić jeszcze kogoś, trzeba przecież przedstawić uczniom różne punkty widzenia. – To co, mam zaprosić faszystę? – zażartował ponuro nauczyciel i ostatecznie porzucił swój pomysł.

W 2021 r. Sejm dyskutował o projekcie ustawy, która jeszcze bardziej utrudniłaby sprowadzanie zewnętrznych prelegentów i uczestnictwo w programach pozaszkolnych. Pracownicy posłowie wystąpili przeciw-

ko „moralnemu zepsuciu” w szkołach – mając na myśli głównie edukację seksualną – i przeforsowali ustawę nakazującą nauczycielom występowanie o pisemną zgodę na zaproszenie prelegenta lub organizacji, których nie ma na wąskiej, wstępnie zatwierdzonej oficjalnej liście. Oprócz edukacji seksualnej uderzyłoby to w większość zajęć o Holocaust. Ustawa przeszła przez Sejm, ale zawetował ją prezydent Andrzej Duda, prosząc o „przesunięcie jej w czasie” z uwagi na wojnę w Ukrainie. Nowe prawo z pewnością utrudniłoby integrację setek tysięcy ukraińskich uczniów, dzieci uchodźców.

Rok niepewności zdążył jednak odcisnąć swoje piętno. Największa i najstarsza polska organizacja non profit zajmująca się relacjami polsko-żydowskimi przeorientowuje swą działalność poza szkoły, żeby oprzeć się politycznej presji. Od 1998 r. Forum Dialogu umożliwiło kontakt z ocalałymi z Holocaustu i edukatorami prawie 10 tysiącom uczniów w 400 szkołach w całej Polsce, głównie w miasteczkach i wsiach, w których żyła niegdyś społeczność żydowska. Osią programu była Szkoła Dialogu – program, w ramach którego uczniowie ze szkół partnerskich zapoznawali się z żydowską historią swojej miejscowości, a potem oprowadzali w roli przewodników miejscowe grupy.

Obecnie Forum prowadzi inne programy, m.in. kształci nauczycieli i poszerza sieć ponad 100 działaczy z całej Polski zajmujących się lokalną historią. Forum nazywa ich strażnikami pamięci, a jednym z nich jest Dariusz Popiela z Nowego Sącza.

ODWROTNY SKUTEK

Po powrocie do Nowego Sącza Popiela opowiedział mi o rozmowie z dziadkiem, z którym parę lat temu jadł obiad. Popiela poświęcił się już wtedy upamiętnianiu żydowskiej obecności, rozmawiali więc o jego działalności. W pewnym momencie zauważył łzy w oczach dziadka. Wtedy po raz pierwszy dziadek opowiedział mu o pewnym wspomnieniu z dzieciństwa. Zdarzyło się to już po likwidacji getta i rozebraniu otaczającego je muru.

Idąc pustymi ulicami getta, zobaczył kilku chłopców w jego wieku ukrywających się w którymś budynku. Na chodniku poniewierały się książki, niektóre ze złotymi hebrajskimi napisami. Jego rodzina i inni zebraли je, bo nie mieli czym palić w piecu. Dziadek wyznał wnukowi, jak mu teraz głupio, i rozplakał się.

Obaj, ojciec i dziadek, którzy głosowali dotąd na PiS, przyłączyli się do działalności syna i wnuka – dziś cała rodzina, w tym małe dzieci Dariusza Popiela, dba wspólnie o pamięć o Żydach.

Popiela mówi mi, że jeśli w Nowym Sączu nie powstanie pomnik Holocaustu, wyprowadzi się z miasta, kiedy tylko córka skończy 18 lat. W maju [2022 r.] wciąż czekał na pozwolenie na rozpoczęcie budowy pomnika. Dzień przed naszym spotkaniem kibicował 11-letniej córce w jej pierwszych zawodach kajakerskich, stojąc nad rzeką między dwoma mostami, gdzie zamierza wzniesić pomnik.

Od tego czasu minęło parę tygodni, budowa nabrała tempa. Ceremonia odsłonięcia planowana jest na połowę sierpnia. ●

• PS Od redakcji: pomnik został uroczysto odsłonięty 28 sierpnia 2022 r. Dariusz Popiela został nowosądczaninem roku.

Tłum. Sergiusz Kowalski

Historia krzepi

Najważniejsza wojna Piłsudskiego

O wyjątkową pozycję w polskiej historii Marszałek walczył piórem i przemówieniami.

Natęcz



Przed 100 laty Józef Piłsudski stawiał pierwsze kroki jako lider opozycji w Polsce. W maju 1923 r. po władzę sięgnęła, sprzymierzona z PSL „Piast”, Narodowa Demokracja, której nacjonalistyczny i populistyczny program uważał za bardzo szkodliwy dla Polski. Przewodził opozycji w nietypowy sposób: nie stając na czele żadnej partii.

Polska odrodziła się w listopadzie 1918 r. dzięki rozgromieniu przez ententę dwóch z trzech zaborców: Niemiec i Austro-Węgier, tymczasem Piłsudski był ich sprzymierzeńcem

Pozycję budował na podstawie innych atutów, przede wszystkim słowem i piórem, przekonując rodaków o swoich zasługach dla Polski dających mu wyjątkowe miejsce w historii. Nie chodziło tylko o przeszłość. Bardziej liczyła się przyszłość, bo z narracji Piłsudskiego płynął prosty wniosek. Skoro wcześniej to on i jego podkomendni najskuteczniej walczyli o odbudowanie Polski, to teraz ta sprawa dziona w boju elita i jej genialny wódz są najbardziej predysponowani do wzięcia odpowiedzialności za kraj zawłaszczany przez nacjonalistów.

Piłsudski nie miał łatwego zadania. Polska odrodziła się w listopadzie 1918 r. dzięki rozgromieniu przez ententę dwóch z trzech zaborców: Niemiec i Austro-Węgier. Tymczasem on postawił na złego konia i przez trzy z czterech lat wojny był sprzymierzeńcem Wiednia i Berlina. Za to Narodowa Demokracja, z Romanem Dmowskim na czele, była sprzymierzeńcem ententy, zaskarbiając sobie jej wdzięczność. Kierowany przez Dmowskiego Komitet Narodowy Polski, rezydujący w Paryżu, do lutego 1919 r. uznawany był przez ententę za jedyne legalną władzę w Polsce, z pominięciem władz warszawskich, stworzonych i kierowanych przez Piłsudskiego.

Wydawałoby się, że z tak zabagnioną hipoteką Piłsudski nie miał czego szukać na polu dziejowej zasłu-

gi. A przecież stało się inaczej. Piłsudskiemu udało się, na przekór prawdziwej historii, przekonać znaczną część rodaków, że Polska odrodziła się dzięki męstwu i ofiarności Legionów Polskich.

Zaczął to przekonanie wmawiać Polakom już wcześniej, ale od lata 1923 r. zintensyfikował działalność. Ważną rolę odegrały jego wystąpienia z początku sierpnia 1923 r. we Lwowie z okazji odbywającego się tam zjazdu legionistów, w tym mowa szeroko potem rozkolportowana w postaci broszury pt. „O wartości żołnierza Legionów”. Twierdził Piłsudski, że Legiony walczyły wyłącznie z myślą o odbudowaniu Polski, w głębokiej pogardzie mając wszystkich trzech zaborców. To dlatego, jak twierdził, „legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód”, aż do wolnej Polski.

Nie wszyscy dawali wiarę tym twierdzeniom. Najostrzej polemizowali z nimi endecy, zwracając uwagę, że Legiony były częścią armii austriackiej i to o jej sukces wojenny walczyły. Na szczęście, dodawano, były się bez powodzenia, bo Austria i Niemcy wojnę przegrały, co umożliwiło odrodzenie Polski.

Propaganda Piłsudskiego zderzała się też z pamięcią wielu Polaków. Znaczna ich część od pierwszych dni wojny, od sierpnia 1914 r., była krytycznego zdania o legionistach, walczących po stronie Austrii i Niemiec. Obawiano się, że zwycięstwo Berlina i Wiednia utrwali niewolę Polski. Taki ton rozbrzmiewał m.in. w wydanych niedawno zapiskach Michała Korwin-Szymanowskiego, zatytułowanych „Dwór nad Nidą”.

Autor, dziedzic Mokrska na Kielecczyźnie, zapisał pod datą 11 sierpnia 1914 r.: „W Mokrsku zjawili się Austriacy, a właściwie »Sokoli« i zażądali wydania samochodu. Skonfiskowano go na rzecz tak nazwanego »Wojska Polskiego«”. Ograbiony ziemianin potraktował to jako gwałt wojenny, niczym nieróżniący się od dokonywanych przez Austriaków, Prusaków i Rosjan. Zdjęcie samochodu ze stojącym przy nim Piłsudskim, otoczonym sztabem I Pułku Piechoty Legionów, wielokrotnie było publikowane już w czasach II Rzeczypospolitej. Milczeniem jednak pokrywano sposób jego zdobycia, ujawniony dopiero w cennych zapiskach Korwin-Szymanowskiego.

W 1926 r., po zamachu majowym, w służbę legendy legionowej wprzęgnięto cały aparat państwa, w tym nauczanie w szkołach. Upowszechniła się bardzo i trwa do dziś, zaświadczając o zwycięstwie Piłsudskiego w wojnie o historię. ●

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Polecamy książkę

NASZ ŁAD UTRACONY

Określenie „wiedeńska mentalność” w II Rzeczypospolitej najpierw było inwektywą, ale potem stopniowo stawało się powodem do dumy.

ROZMOWA Z

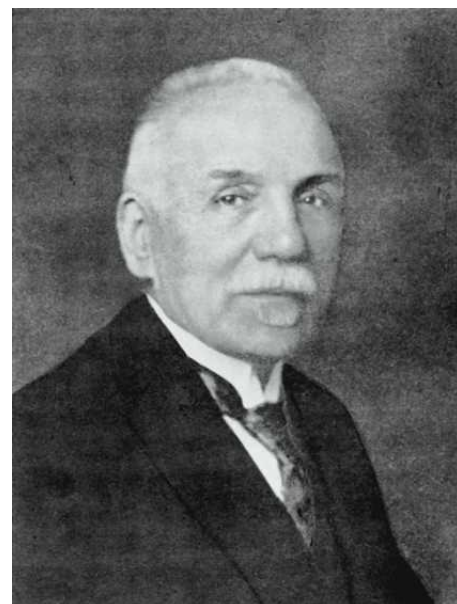
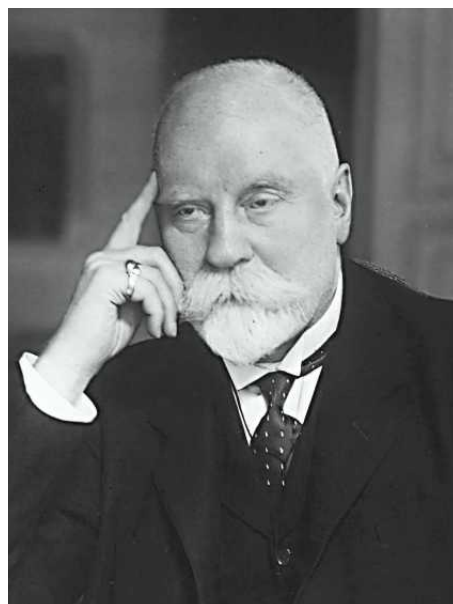
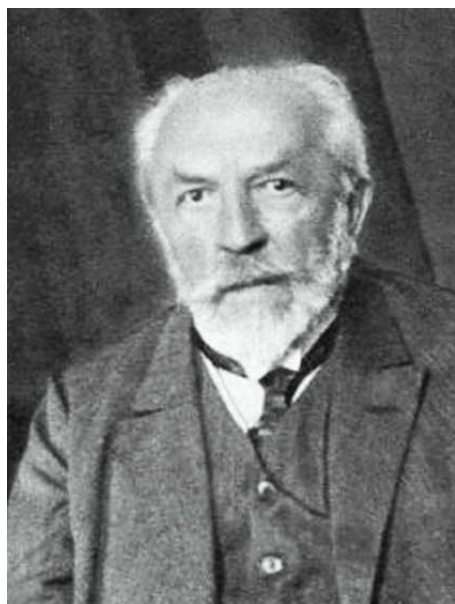
PROF. WALDEMAR ŁAZUGA

JÓZEF KRZYK: „Byłem obywatelem austriackim, a dzisiaj jestem poddany polskim” – tak syn hrabiego Stanisława Badeniego, wieloletniego marszałka galicyjskiego Sejmu Krajowego, tłumaczył po 1926 r. różnicę między c.k. monarchią a II RP. Z pana nowej książki „Uwikłani w przeszłość” wynika, że nie on jeden miał takie odczucie.

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA: Miało wielu. Ze zrozumiałych powodów nie była to opinia, z którą się obnoszono. Podzielał ją nie tylko ludzie, którzy odgrywali wybitną rolę w monarchii habsburskiej – byli ministrowie, namiestnicy, parlamentarzyści, ówczesne elity umysłowe i herbowe, ale też niemałe kręgi byłych urzędników i nauczycieli, tęskniący do pewnej kultury prawnej, jasnych reguł awansu, wyszukanego obyczaju, elegancji stylu, pewnego rodzaju „zasadniczości” i powagi w traktowaniu spraw. Był w tym gronie debiutujący w polityce jeszcze „za Austrii” Wincenty Witos obalony przez zamach Piłsudskiego. Były w tej opinii gorzki żart i trochę słodkiej nostalgii.

Nie umiano sobie wyobrazić świata, który się wylaniał. Ani własnego państwa, które powstawało. Po 123 latach niebytu miano o nim dość mgławicowe pojęcie. Prezydenta u nas nie znano. Ostatni królowie nie bardzo się udawali. Słabe było Oświecenie. Słabe – i od obcych brane – rozumienie kapitalizmu i liberalizmu. Po 1918 r. drastycznie pogorszyły się warunki życia. Zarobki oficerów czy wysokich urzędników w porównaniu z c.k. monarchią były wielokrotnie niższe. Budżet własnego państwa – mówiono – był o wiele mniejszy, niż wynosiła wartość biżuterii noszonej przez polskie arystokratki na wiedeńskich balach. Do władzy parli nowi ludzie (szybko nazwano ich dyletantami) niebudzący zaufania. Kompetentnych, ale związanych ze starym porządkiem miano „proskrybować”, a przynajmniej oni sami tak to odczuwali. Różnice między trzema częściami dawnej Polski przerażały. Maria Dąbrowska pisała o dwóch narodach bez widoków, żeby mogły się stać jednym. Kazimierz Przerwa-Tetmajer przepowiadał wielką, nieustającą kłótnię. Pojawiały się głosy o nieuchronności „wojny bratobójczej”, bez której zjednoczona Polska nie powstanie. Rzeczywistość powojenna dalece odbiegała nie tylko od pięknych wyobrażeń, lecz także od tego, co o niej potocznie wiemy.

Pytania „Czy niepodległość oznacza wolność?” i „Czy można być niepodległym, a nie cieszyć się wolnością?” musiały się w tej sytuacji pojawić. Czasem obracano je w „witzę” [żarty], choć odpowiedzi wcale nie były wesołe. Już w 1919 r. wielu poważnych ludzi uważało, że zjednoczenie nie tylko nie postępuje, lecz się co-



• **Michał Bobrzyński (1849-1935), historyk, austriacki namiestnik Galicji, Leon Biliński (1846-1923), ekonomista, minister skarbu w monarchii austro-węgierskiej i w Polsce tuż po odzyskaniu niepodległości, Ludwik Ćwikliński (1853-1942), filolog klasyczny, austriacki minister oświaty** FOT. AUTOR NIEZNANY / WIKIPEDIA

fa. Dziesięć złożonych projektów konstytucji 1921 r. wiele mówiło o dezorientacji społeczeństwa. Wyniszczały spory o zasługi i wzajemne pomówienia o zdradę. Mord na pierwszym prezydencie Gabrielu Narutowiczu był szokiem. Potem mieliśmy głęboki kryzys, a następnie odmieniony psychologicznie Józef Piłsudski zrobił zamach, który miał być resetem, próbą budowy Polski od nowa. Monarchia w tej perspektywie, zwłaszcza dla ludzi starszych, przedstawiała się jak eksterytorialny ład utracony. Wydawała się światem o wiele lepszym, spokojniejszym, co na gruncie psychologii nie jest czymś nadzwyczajnym. Dawny świat wciąż żył w przedmiotach, którymi ciągle się otaczano, w porównaniach, od których nie można było uciec, i we wspomnieniach z lat minionych. „Moja matka – opowiadał pan Witold Starzewski – stale tęskniła do tamtych balów, życia towarzyskiego, pogody i wygody życia”. Do świata „samych przeuroczych ludzi” tęskniła Alicja Ankarcróna Badeni Habsburg, która zmarła dopiero w 1985 r. I prof. Ludwik Ćwikliński, wybitny hellenista i austriacki minister, który do końca długiego życia wy magał, aby zwracać się doń „ekscelencjo” lub „panie ministrze”.

Z drugiej strony zaraz po 1918 r. w Polsce mówiło się pogardliwie o „wiedźmie Austrii”. Czy doświadczenie pracy dla c.k. monarchii było obciążeniem, czy atutem?

– O „wiedźmie” mówiono najczęściej w 1918 r., potem już coraz rzadziej. W słowach zresztą nie przebiegano. Roman Dmowski miał „merdać ogonem przed carem”, a stańczycy, urodzeni lojaliści, stanowili „podgatunek ludzki”. Dodajmy tu nawiasem, że określenie „Vindobona educati” (wiedeńska mentalność) najpierw było inwektywą, ale potem stopniowo stawało się powodem do pewnej dumy. I że wyjątkiem nie był generał Wojska Polskiego Roman Żaba najwyżej ceniący austriacki mundur, a o nowych elitach piszący per „chamy”, pełne „okropnych przyzwyczajzeń rosyjskich”.

Czy kariera „za Austrii” w niepodległej Polsce szkodziła? Zależało od kariery, jakich poziomów ona sięgała. C.k. ministrowie, ekscelencje, odznaczeni najwyższymi orderami cesarskimi podlegali zwykle najtwardszej „proskrypcji”. Ci, którym udało się od niej odciąć, po złożeniu stosownej ekspiacji najostrzej przeważnie zwalczali

li tych, którzy tego nie zrobili. Dla urzędników średniego i niższego szczebla austriacka przeszłość nie stanowiła w zasadzie obciążenia. Niektórzy byli wprost rozchwytani, bo mieli umiejętności bezcenne dla administracji młodego państwa. Wielu z nich z Wiednia trafiło do Warszawy, ale byli i tacy, którzy rozejrzawszy się na miejscu, chętnie na piechotę wróciliby do Wiednia. Za „Ober-Austriaków” uchodziło trzech byłych austriackich ministrów: Michał Bobrzyński, Leon Biliński i Ludwik Ćwikliński. Wszyscy byli profesorami i wybitnymi ludźmi. Co się z nimi stało? Bobrzyński i Ćwikliński przenieśli się po wojnie do Wielkopolski. Biliński został nawet ministrem skarbu w gabinecie Ignacego Paderewskiego, ale w nowej rzeczywistości się nie odnalazł i marzył, aby umrzeć w Wiedniu. Kilku innych bohaterów mojej książki mniej lub bardziej eskapistycznie żyło w „tamnym” świecie. Nazywali siebie ludźmi dawniejszymi lub franciszko-józefinistami, w czym zawarty był ich stosunek do współczesności.

Z Austrii wziął się też Piłsudski. Jemu to uwikłanie nie zaszkodziło?

– Piłsudski to szczególnie przypadek uwikłania. W Galicji pojawił się w 1908 r. po dotkliwych klęskach konspiratora. Zaczął działać legalnie, oferując Austrii usługi wywiadowcze przeciwko Rosji. Sprzymierzeńców znalazł w rządzących wtedy Galicją konserwatystach krakowskich przygotowujących kraj do wojny z Rosją. Dobrze się też w austriacko-galicyjskie struktury wkomponował. Po 1926 r. od endecji usłyszy, że był austriackim agentem, kolarantem, brał pieniądze od zaborcy, rozbijał się po wiedeńskich hotelach, był „polskim Krzyżakiem”, dobrowolnym najmitem i uczestnikiem „filogermanskiej targowicy” na spółkę ze stańczykami. Początkowo te głosy lekceważył, potem znosił je coraz gorzej.

A jak na Piłsudskiego patrzono w Galicji?

– Najpierw jak na rewolucjonistę, potem jak na romantyka, a na końcu jak na widmo zmartwychwstającej Polski. Dla konserwatystów – co ich uspokajało – był „z panów”. Początkowo zresztą nie był bliżej znany. Namiestnikowi Bobrzyńskiemu ten fantasta – jak go początkowo nazywał – był potrzebny, bo nikt tak jak on nie działał na wyobraźnię młodych. Zanosilo się na

wojną, szukał Garibaldi. Zbliżały ich do siebie fascynacja silną władzą, krytyczny pogląd na dzieje Polski, sympatia do króla Batorego, a także niechęć do wszelkiej postaci nacjonalizmu i Dmowskiego. Wyszło z tego niejawnie przymierze konserwatywno-socjalistyczno-ludowe, które przetrwało I wojnę światową i w rozmaitej postaci utrzymało się jeszcze w II Rzeczypospolitej. Dziś mało kto wie, że Bobrzyńskiemu zarzucano, iż był faktycznym inscenizatorem piłsudczyzny, że ją w istocie stworzył. Odpowiadał, że Galicji, polskiemu Piemontowi, potrzebny był Garibaldi, o którym można powiedzieć tyle, że był bardziej symbolem zjednoczenia Włoch niż ich twórcą.

A Bobrzyński uważał się za polskiego Camilla Cavoura, który w XIX w. stał na czele polityki Piemontu?

– Długo był w Austrii najsilniejszą figurą. Pytałem synową Bobrzyńskiego, czy uważał siebie za Cavoura. Zaprzeczyła: „Teść powtarzał tylko, że na wypadek wojny Austrii z Rosją potrzebny był Garibaldi”. Mógł zresztą nie mówić. Taki podział ról sam się narzucał. Jeden miał być od działań zbrojnych, drugi – od wielkiej polityki. Tak to sobie po stronie stańczyków teoretycznie układano.

Ważny był tu kontekst – przekonanie, że to Austria jest „depozytariuszką polskich nadziei”. I że monarchia pod wieloma względami przypomina dawną Rzeczpospolitą, powinna być więc punktem wyjścia wszelkich planów. To Bobrzyńskiemu w końcu cesarz pytał, czy Piłsudskiemu można dać broń. To Bobrzyński też wspólnie z Juliuszem Leo, prezydentem Krakowa, stał za ideą Legionów i do pewnego stopnia – po faski wyprawy strzelców do Kielc – Piłsudskiemu ją narzucił (jednocześnie przestając uważać go za fantastę). Z Piłsudskim Bobrzyński spotkał się w swoim mieszkaniu w Krakowie przy Krupniczej 9. Brygadiera przekonywał, żeby zbytnio się nie spieszył, bo „pana czas jeszcze nadejdzie”. Nawiazali „stosunek historyczny” – jak go potem zaczęto określać – oznaczający pewien rebus. Zastanawiało np., dlaczego piłsudczycy nigdy nie zakwestionowali tego, co Bobrzyński napisał o Piłsudskim w książce „Wskrzeszenie Państwa Polskiego” (gdzie jest o tym, że podarowano mu Legiony). Bobrzyński zaś nigdy nie powiedział, co wiedział o działalności

Historie kobiet

Kolorowe życie Misi Sert

Marcel Proust wzorował na niej jedną z bohaterek „W poszukiwaniu straconego czasu”. A Renoir marzył, by namalować jej piersi.

Iwona Słabuszewska-Krauze

Jej dziadek Adrien-François Servais był wiolonczelistą, jednym z najznakomitszych w tamtym czasie, do tego człowiekiem bogatym. Kiedy poprosił polskiego rzeźbiarza Cypriana Godebskiego o zrobienie dekoracji w swoim domu w belgijskim Halle, nie spodziewał się, że zostanie on jego zięciem. Stało się tak w 1865 r., gdy Cyprian ożenił się z najstarszą córką Adriena Zofią. Godebski pochodził ze starej szlacheckiej rodziny. Jego dziad, również Cyprian, był pułkownikiem Księstwa Warszawskiego, zginął w bitwie pod Raszynem. Jego ojciec Franciszek Ksawery, który kontynuował patriotyczne tradycje, po powstaniu listopadowym wyemigrował do Francji. Cyprian urodził się już w Méry-sur-Cher.

Liczne podróże coraz bardziej cenionego rzeźbiarza po Francji, Włoszech, Austrii, Belgii, związane z zamówieniami rzeźbiarskimi, nie służyły jego małżeństwu. Przebywając w Rosji, wdał się w romans z siostrą swojej teściowej Olgą Fejgin. Zofia dowiedziała się o tym z anonimem i nie zważając na to, że jest w ósmym miesiącu ciąży, wyruszyła w podróż do niewiernego męża. Gdy dotarła do Petersburga, 30 marca 1872 r. urodziła córkę, ale sama zmarła. Dziewczynka otrzymała imiona Maria Zofia Olga Zenajda – zawsze nazywano ją jednak zdrobniale Misią.

TUŁACZKA

Godebski nie palił się do zajmowania się dzieckiem. Wkrótce zerwał z rosyjską kochanką, ale zostawił jej Misię, uznając, że to rodzina. Potem opiekę nad dziewczynką przejął babka Servais, która zabrała ją do swojego domu w Halle, gdzie mieszkali już starsi bracia Misi. Dom Servaisów zawsze tętnił życiem, bywało tu wielu znamienitych gości, z salonu płynęła muzyka. To jeden z najszcześniejszych okresów w dzieciństwie Misi. Zaczęła uczyć się gry na fortepianie, odkrywając swój niebywały talent odziedziczony zapewne po dziadku – umiała grać, zanim nauczyła się czytać.

Kiedy miała osiem lat, ojciec przeniósł ją do swojego nowego domu w Paryżu, w którym mieszkała teraz jego druga żona – pochodząca z bogatej rodziny żydowskiej Matylda Natanson, oraz dwójka jej dzieci z poprzedniego małżeństwa. Misią nie czuła się tam dobrze. Macocha dawała jej do zrozumienia, że jest niechcianą lokatorką, a ojciec umywał ręce. Za próbę ucieczki z domu Misią wylądowała w szkole z internatem o zaostrowym rygorze, gdzie przez pół roku nie mogła bez pozwolenia wychodzić z pokoju.

Macocha i ojciec szybko mieli dosyć ekscesów Misi i przekazali ją Marii – bezdzietnej siostrze zmarłej matki Misi. Ten pobyt zakończył się jednak tragicznie; ciotka z powodu nieszczeniwej, skrywanej miłości zagłodziła się na śmierć. Misią po raz kolejny musiała opuścić miejsce zamieszkania. Trafiła do ośmioletniej szkoły prowadzonej przez Towarzystwo Sióstr Serca Jezusowego, ale od początku miślała tylko o tym, żeby stamtąd uciec.



• Lata 90. XIX w. Henri de Toulouse-Lautrec w swojej pracowni z Misią Sert

FOT. ARCHIVES CHARMET / BRIDGEMAN IMAGES / EAST NEWS

Kiedy miała 15 lat, zmarła Matylda, pozostawiając jej o dziwo w spadku okazałą sumę do spożytkowania, gdy Misi wyjdzie za mąż. Po śmierci żony Godebski szybko znalazł sobie kolejną kobietę. Misią uciekła od ojca, gdy tylko skończyła 18 lat, tym razem do Londynu. Wróciła do Paryża kilka miesięcy później, ale już do samodzielnego apartamentu, który sama sobie kupiła z oszczędności oraz za pożyczone pieniądze. Zaczęła się utrzymywać z lekcji gry na pianinie. Ojciec próbował ją zmusić, by przeniosła się z mieszkania do pensjonatu i nie szarżała dobrego imienia zamożnej rodziny.

TRÓJKĄT MIŁOSNY

Chodziła wyprostowana, miała pełną figurę, ale talię osy. Do tego duży biust i lekko zadarty nos, wyraziste oczy, na głowie kok. Mówiła niskim głosem. Nie była pięknociągą, ale miała magnetyczny urok oraz zapewne coś nieuchwytnego, co zapewniło jej miejsce w artystycznym świecie Paryża.

Jej pierwszym mężem został Tadeusz Natanson, towarzysz zabaw z dzieciństwa, z którym nawiązała kontakt po latach. Pobrali się 5 kwietnia 1893 r. Małżeństwo miało dać Misi wolność, której tak pragnęła. Oboje byli atrakcyjni, mieli odziedziczone pieniądze i dużo czasu. Obcowali ze sztuką. Do 1903 r. Tadeusz wydawał awangardowy magazyn literacki „La Revue Blanche”, z czasem jednak bardziej niż prowadzenie nieopłacalnego pisma zaczęło go pociągać gromadzenie majątku. Chciał rozbudować linię tramwajową i wybudować hydroelektrownię.

Misią z kolei zdała sobie sprawę, że nie chce być profesjonalną pianistką, i zajęła się wykańczaniem ich nowego domu w Cannes. Natansonowie stali się bywalcami paryskich salonów. Bez nich i bez drugiej pary – bajecznie bogatych Edwardsów, nie odbyły się żadna premiera teatralna, operowa ani spotkanie artystyczne.

Alfred Edwards, przedsiębiorca, potentat prasowy i właściciel teatrów, choć żonaty, zauroczył się Misią i stał się jej zagorzałym adoratorem. Chcąc oddalić ją od męża, zaproponował Tadeuszowi stanowisko dyrektora jednej ze swoich kopalni na Węgrzech. Podstęp się udał – Tadeusz wyjechał i doprowadził kopalnię na skraj bankructwa, a potem szukał ratunku u Misi. Błagał ją w listach, żeby wybawiła go z kłopotów, pchając ją w ramiona Edwardsa i licząc na umorzenie długów.

Misią wyszła za mąż, by mieć poczucie bezpieczeństwa, a teraz Tadeusz za-

chowował się jak dziecko, które narobiło kłopotów. Wizja nowego małżeństwa była kusząca – jako pani Edwards byłaby najbogatszą kobietą Paryża. Poza tym w męskim i trochę brutalnym Alfredzie widziała namiętność, której nigdy nie było w Tadeuszu. Edwards pięć lat namawiał Misię na małżeństwo. W tym czasie ona kilka razy rozstawiała się z Tadeuszem i znów do niego wracała. Ale Edwards zawsze był w pobliżu. Ten trójkąt miłosny stał się tematem paryskich plotek i jeszcze bardziej podsycał zainteresowanie panią Natanson. Misią mówiła potem, że Tadeusza lubiła, ale nigdy nie szanowała. Alfreda szanowała, ale nigdy nie kochała. Niektórzy uważali, że świetnie manipulowała oboma, ale ona po latach twierdziła, że sprzedała się potworowi tylko po to, żeby uratować męża.

PIÓRA I KORONKI

Ślub z Alfredem wzięła 24 lutego 1905 r., a mąż z wdzięczności kupił jej apartament z widokiem na ogrody Tuileries. Stała się osobą publiczną i królową paryskiej bohemy, muzą i mecenaską sztuki. Sama nic nie stworzyła, ale inni tworzyli dzięki niej. Ubierała się ekstrawagancko – zamiast biżuterii na szyi nosiła pióra i koronki. Nie gonila za modą flapperów ani coraz modniejszym luźnym stylem, tworzyła swój własny. Wyznaczała trendy, a jej zachcianki stawały się w Paryżu modą.

W jej salonie spotykali się artyści, pisarze, muzycy, femmes fatales, cygańskie wróżki. Mawiała: „Ja sztuki nie szanuję, ja ją kocham”. Jej misją stało się pomaganie artystom. To dzięki protekcji Misi Sergiej Diagilew rozwijał sprowadzony do Paryża Rosyjski Balet Cesarski, wykupywała bowiem miejsca na widowni i regularnie zasilala konto Diagilewa. Wspierała tancerzy i z wieloma się przyjaźniła.

Była w zażyłości z Marcelem Proustem, a postać rosyjskiej księżnej Jurbieletiew z „W poszukiwaniu straconego czasu” to Misią. Pisał o niej Mallarmé, bywał u niej Emil Zola. Skupowała obrazy impresjonistów, a Renoir malował jej portrety. Marzył, by uwiecznić odsłonięte piersi Misi, ale nigdy się nie zgodziła. Jej podobizna widnieje na plakatach i szkicach Toulouse-Lautreca. Znała Picassa i jego żonę – została matką chrzestną ich syna. Była pierwszą osobą, dla której Claude Debussy grał swoje nowe kompozycje. Helena Rubinstein ją podziwiała.

ści Piłsudskiego w Austrii, choć wierzono, że musiał mieć papiery na Piłsudskiego i że te papiery właśnie mu skradziono. Jeszcze po 1926 r. byli tacy, którzy wierzyli, że tylko z Bobrzyńskim jako prezydentem Piłsudski będzie się liczyć, a Witos na emigracji miał sny, w których ten „stosunek historyczny” się odzwierciedlał.

Galicję nazywano polskim Piemontem, ale w skłeczonej z trzech różnych części II RP nie odegrała podobnej roli. Właściwie dlaczego?

– Odegrała niemałą, tylko jakoś wtórną. Nie byłoby mojego macierzystego Uniwersytetu w Poznaniu, gdyby nie potężny import profesury z Galicji. Byłyby też kłopoty z uruchomieniem polskiego szkolnictwa, nie tylko w Wielkopolsce, gdyby nie napływ nauczycieli z Galicji. Zauważmy, ilu premierów i generałów pochodziło z Galicji: Julian Nowak, Aleksander Skrzyński, Wincenty Witos, Tadeusz Rozwadowski, Władysław Sikorski – wszystko to „Austriacy”, czytelnicy „Czasu”, wychowankowie krakowskiej szkoły historycznej (której kwiatem – według Leopolda Starzewskiego blisko związanego z Boyem i Wyspiańskim – był Stanisław Wyspiański). Im Austria mniej przeszkadzała. Nowak więc radził się Bobrzyńskiego po cichu, podobnie jak Sikorski i Skrzyński. Inna sprawa, że gdy Polskę budowano, najwyższą pod względem cywilizacyjnym stała Wielkopolska, pod względem nauki i kultury – Galicja, a pod względem demograficznym dominowało Królestwo i to ono ostatecznie przesądziło o obliczu państwa. Organicznika i stańczyka zwyciężył więc duch insurgenta, choć dla niektórych przekonanych o naszym wyjątkowo głębokim uwikłaniu w przeszłość długo jeszcze to duch dawnej Rosji zwyciężał nad Wartą i Wisłą ducha Austrii i Niemiec.

Nie wyobrażano sobie, że imperium habsburskie może przegrać i w ogóle zniknąć.

– Teoretycznie sobie wyobrażano – nazywano to nawet wesołą apokalipsą, ale w praktyce nie bardzo wiedziano, co miałyby być zamiast tego imperium, i jeszcze po II wojnie światowej wracano do idei środka Europy, nawiązującej do monarchii naddunajskiej. Ostatecznie znamy tylko przeszłość. Przewidywanie przyszłości to ruletka. ●



Waldemar Łazuga

Uwikłani w przeszłość

Wydawnictwo Zysk i S-ka

Prof. dr hab. Waldemar Łazuga

• Historyk, profesor senior Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, profesor Akademii Kaliskiej, członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności. Autor książek poświęconych XIX-wiecznej Galicji i Austrii, m.in.: „Ostatni stańczyk. Michał Bobrzyński – portret konserwatysty”, „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii”. ●

W 1916 r. poznała Coco Chanel, z którą z miejsca się zaprzyjaźniła. Misia pomogła znacznie młodszej Coco zdobyć przychylność na salonach. W dużej mierze dzięki temu szybko stała się ikoną mody, a paryżanki zwinęły „żagle dziewiętnastowiecznych sukni i stały się eleganckimi jachtami”. Przyjaźń Coco i Misia trwała 30 lat.

Alfred spełniał wszystkie zachcianki swojej żony. Zamówił dla niej jacht i wypełnił go antykami, bo Misia chciała spędzać czas na świeżym powietrzu. Misia była jedną z pierwszych paryżanek, które kupiły automobil. Miała skłonność do próżniaczego trybu życia. Wykorzystywała to, że jest żoną milionera, mówiono, że jest władczą i pewną siebie, ale też kapryśną i marzycielską. „Opływałam we wszystkie dostatki, o jakich może marzyć kobieta”, pisała w pamiętniku. A zaraz potem przewrotnie pytała: „Czy moje życie już zawsze będzie takie nudne i nieszczęśliwe?”.

Małżeństwo zakończyło się po czterech latach, gdy Edwards zainteresował się młodziutką aktorką Geneviève Lantelme. Misia zaczęła traktować jak pierwszą żonę, opowiadał jej o Lantelme, a ona wpadała w szal. Była o 15 lat starsza od rywalki, nagle poczuła się stara i niechciana.

NA GRANICY SKANDALU

Pocieszenie znalazła u boku hiszpańskiego malarza Joségo Marii Serta. Był o trzy



• Misia Sert (1872-1950), córka rzeźbiarza Cypriana Godebskiego. Zdjęcie datowane na 1905 r.

FOT. TALLANDIER / BRIDGEMAN IMAGES / EAST NEWS

lata młodszy, miał żywiołowy charakter i pochodził z bogatej katalońskiej rodziny przemysłowców tekstylnych. Miał urok osobisty, ale pił i był morfinistą. Misia została kochanką Serta, będąc jeszcze żoną Edwardsa. Oficjalnie rozwiódła się z nim dopiero 24 lutego 1909 r. Jej związek z Sertem był kolejnym paryskim skandalem, a przy tym powodem jeszcze większej popularności.

Wyszła za niego 2 sierpnia 1920 r. po trwającym ponad dekadę romansie. Miała 48 lat i wiedziała, że Sert też nie jest jej wierny. Misia nauczyła się tolerować je-

go zdrady. Kresem tej wyrozumiałości okazał się romans, który 50-letni Sert nawiązał z 20-letnią gruzińską księżniczką Roussy Mdiwani. Misia nie była zaskoczona – sama także pozostawała pod urokiem egzotycznej, żywiołowej i pięknej Roussy, do tego stopnia, że zaczęła jej matkować. Roussy „była jeszcze niemal dzieckiem, a myśmy dzieci nie mieli. Czyż można było jej nie ubóstwiać?”. Całą trójkę łączyła też skłonność do kokainy i morfiny.

Sert chciał rozwodu, Misia po próbach bezskutecznego odzyskania jego zainteresowania zgodziła się. W 1927 r. wniósł pozew o unieważnienie małżeństwa z powodu braku potomstwa, co było dla niej upokarzające. Kochała go jednak nadal, nawet kiedy rok później ożenił się z Roussy.

WENECJA

Po sześćdziesiątce zaczęła tracić wzrok, co długo ukrywała. Przeszła operację w Szwajcarii, ale niewiele to pomogło. Po powrocie z podróży przeżyła ciężki zawal serca. Jednymi z jej nielicznych przyjemności pozostały gra na pianinie i wizyty w ukochanej Wenecji.

Zaprzyjaźniła się z Polakami – Janem Lechońiem, który pełnił funkcję attaché kulturalnego, poznała też Marię Kuncewiczową. W jej domu bywał polski ksiądz Aleksander Rzewuski, jej późniejszy spowiednik.

W 1937 r. zmarł ukochany brat Misia, Cipa, a zaraz potem chora na gruźlicę Roussy. Misia obie straty przeżyła. Sert odnowił z nią relację i znowu zaczęła odgrywać rolę gospodyni w jego domu, ale dawnego związku nie dało się już odbudować. Gdy wybuchła wojna, paszport Serta chronił też Misia. W 1945 r. Sert jednak zmarł. Pozostawił jej mieszkanie i meble.

Z biegiem lat była coraz bardziej uzależniona od narkotyków. Zdarzało jej się tracić przytomność na ulicy, wtedy obcy ludzie odprowadzali ją do domu. Dawki narkotyków musiały być coraz większe, przy znajomych bez skrępowania wbijała sobie igłę przez spódnicę.

Ostatnie lata spędziła z mężczyzną, o którym niewiele wiadomo poza tym, że Misia nazywała go Aloszą i że odziedziczył sporą część jej majątku ulokowanego w banku oraz dzieła sztuki. Zarządzał pieniędzmi Misia, ale i dostarczał jej narkotyki.

Zmarła 15 października 1950 r. w wieku 78 lat. Coco Chanel ubrała ją i umalowała do trumny, a wokół ciała ułożyła białe kwiaty i pojedynczą różę na znak miłości. Pogrzeb odbył się – zgodnie z życzeniem Misia – w polskim kościele. Jan Lechoń napisał po jej śmierci: „Żadne zdanie powojennego Paryża tak bardzo jak śmierć Misia nie oznacza końca jego cierpkiej, nerwowej, niezdrowej, a jakże pobudzającej myśli, nerwy i nawet uczucia – świątyni”.

Okruchy historii

Francuski półkownik

Gdy ten film kilkanaście lat po nakręceniu miał być pokazany na festiwalu w Grenoble, samorządowcy wymusili usunięcie go z programu.

Motyka



Niedawno telewizja francuska przypominała dramat wojenny z 1972 r. „Le franc-tireur” („Indywidualista”) Jeana-Maxa Causse’a i Rogera Tavernie’a. Do jego obejrzenia zachęciła mnie zapowiedź z początku filmu, iż za rządów następców gen. de Gaulle’a nie mógł on wejść na ekrany kin. Cóż tak zaniepokoiło dyżurnych francuskich patriotów?

Film opowiada o grupce partyzantów i cywilów zbłąkanych w masywie Vercors latem 1944 r. Po wylądowaniu alianatów w Normandii masyw zamienił się w partyzancką republikę. Niedostępność górskich zboczy tworzyła iluzję bezpieczeństwa, teren wydawał się nie do zdobycia. Jednak Niemcy w odpowiedzi na aktywność ruchu oporu zorganizowali udaną akcję pacyfikacyjną. Masyw Vercors spłynął

krwią – zginęło lub zostało zamordowanych 840 partyzantów i cywilów.

Dopiero oglądając film, zrozumiałem, że wielu Francuzów odbiera historię „republik Vercors” tak jak my powstanie warszawskie. W kilku scenach wypowiedane są wprost żale, iż alianci i emigracyjny rząd francuski zapomnieli o partyzantach, czego wyrazem są rzadkie i niewystarczające zrzuty z zaopatrzeniem. Co gorsza, zrzucany sprzęt często był mało przydatny. Jeden z bohaterów filmu dźwiga bazookę, lecz nie potrafi jej użyć, bo nie rozumie instrukcji obsługi napisanej po angielsku.

To jednak nic w porównaniu z antybohaterskim przesłaniem filmu. Główny bohater grany przez Philippe’a Léotarda myśli tylko o tym, by przeżyć. W góry wyjechał, by uciec przed wojną, i pechowo trafił w sam środek niemieckiej oblawy. Przyłącza się do napotkanej grupy partyzanckiej, która próbuje dołączyć do jakiegoś większego oddziału. Dowodzi ją młody podporucznik – jest pełen poświęcenia, lecz nie mając większego doświadczenia bojowego, podejmuje błędne decyzje. Partyzanci wpadają na coraz to nowsze niemieckie posterunki, co i tak niczego ich nie uczy. Na górskiej far-

mie uczują do późna, opróżniając butelkę za butelką. Nawet nie wystawiają czujek, więc rano Niemcy wygarniają ich bez strzału przyprawieni przez schwytanego i złamanego partyzanckiego zwiadowcę. Od natychmiastowej śmierci ratuje ich przytomność umysłu siostry farmera (w tej krótkiej, lecz smakowitej roli Estella Blain, aktorka znana głównie z filmu „Angelika i król”), która otwiera ogień z dubeltówki. Ginie, ale dzięki jej poświęceniu partyzanci uciekają. Przedzierając się w coraz wyższe partie gór, Francuzi ludzą się, że tam już nie dotrą Niemcy. Ci jednak coraz bardziej zacieśniają kleszcze, zabijając kolejnych bohaterów.

Ostatnie sceny filmu, kiedy partyzanci błąkają się w labiryncie wapiennych skał, trochę przypominają „Kanał” Andrzeja Wajdy. Z tą różnicą, że główny bohater po śmierci wszystkich towarzyszy, będąc w sytuacji bez wyjścia, w końcu chwytą za broń i zmusza ścigający go niemiecki patrol do ucieczki. Czy to oznacza, że przeżył? Niekoniecznie, komentarz zza kadru informuje tylko, iż nie ma go na liście ofiar masywu Vercors, równie dobrze mógł więc zaginać w skalnych rozpadlinach. Warto wspomnieć, że w fil-

mie pojawia się postać Algierczyka walczącego od 1940 r. w ruchu oporu. „Jesteś Francuzem” – mówią do niego koleddy w czasie jednej z libacji. „Tylko wtedy, kiedy noszę mundur” – odpowiada im gorzko, ze świadomością, jak instrumentalnie jest traktowany.

Największe oburzenie polityków wywołały sceny uczt urządzanych przez partyzantów. „Francja nie potrzebuje prawdy, ale nadziei” – ten cytat z gen. de Gaulle’a stał się wskazówką dla tych, którzy zdecydowali o odłożeniu filmu na półkę. Dopiero w 1986 r. miał on zostać pokazany na festiwalu w Grenoble. Jednak zdecydowany sprzeciw francuskich samorządowców zmusił organizatorów konkursu do wycofania zaproszenia. Ostatecznie pokazano go szerszej publiczności dopiero po 30 latach, w 2002 r., a więc wtedy, gdy jego wpływ na opinię publiczną siłą rzeczy stał się minimalny.

Często można spotkać opinię, że na zachodzie Europy już dawno rozliczono się z niewygodnymi fragmentami przeszłości i tylko my, Polacy, mamy z tym problem. Historia „Le franc-tireur” pokazuje jednak, że wszędzie prawda o przeszłości nierzadko przegrywa z polityczną użytecznością.

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Wkrótce

Nazywali go wielkoludem

W 2000 r. rodacy wybrali Michaela Collinsa na Irlandczyka XX w. i w ogóle na człowieka XX w. Wyprowadził Nelsona Mandelę i Matkę Teresę. Został zastrzelony 22 sierpnia 1922 r. przez radykałów Irlandzkiej Armii Republikańskiej, organizacji, którą sam stworzył. Irlandczycy do dziś się o niego spierają. Większość uważa go za wielkiego polityka i wizjonera. Gdyby żył dłużej, historia kraju potoczyłaby się korzystniej.

ALEHISTORIA

Redagują: Mirosław Maciorowski (redaktor naczelny), Igor Rakowski-Kłos
Zespół: Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Beata Maciejewska, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wieliński, Józef Krzyk
Fotoedycja: Dominik Gajda; **korrekta:** Paulina Kluk; **grafik prowadzący:** Łukasz Rudnikowski
Adres redakcji: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 66 00;
e-mail: alehistoria@wyborcza.pl; **internet:** wyborcza.pl/alehistoria.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej”:
wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa